

ŁĄCZNIK

Harcerstwa
Katolickiego

"Mam szczerą wolę
... pełnić służbę
Bogu i Polsce"...



"Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy
co nam obca przemoc wzięła"

Kilka dni po zakończeniu kampanii wrześniowej, gdy padł Hel a ostatnie boje toczył już tylko samotnie nad Bugiem gen. Kleeberg - dawny carski książę oświadczył z radością, iż oto przestał istnieć „bękart Traktatu Wersalskiego” – czyli Polska.

Po raz któryś już z rządu w ciągu ostatnich dwu wieków – znów wykreślono nas z mapy Europy. Rząd poszedł do Rumunii już 17-go września, potem dalej. I tylko jeden uczciwy powrócił nielegalnie do okupowanego Kraju, by umrzeć – nieznan; to marsz. Rydz – Śmigły.

Jednak Polska trwała w sercach nie tylko żołnierzy, wędrujących poprzez granice – do Francji. Trwała w sercach polskich: na Kresach, w kopalniach Uralu i tajgach syberyjskich, w setkach obozów na „ziemi nieludzkiej” I pod butem germańskim, nad Wisłą i Bugiem: tym razem nazwano ten skrawek – „Generalną

Gubernią” z wielkorządcą, którego osadzono na Wawelu – w „Uhrdeutsche Stadt Krakau”.

Po 63 latach dzisiaj znów mamy rząd, który czeka na posady w Brukseli; nam zostanie prawo do roli taniego robotnika, nazwą nawet nie republiki sowieckiej – lecz tylko dzielnic o przedziwnych nazwach: „euro-landów”. „A bogiem ich brzuch” będzie, jeśli się nie ockniemy w porę. W rocznicę odwetowego uderzenia w plecy walczącego z najazdem germańskim Narodu – rozważmy stare słowa poety – legionisty gen. Dąbrowskiego. które stały się symbolem, hymnem narodowym. Nie zginęła I nie zginie Polska, póki żyje w sercach, póki znamy i pamiętamy dzieje praojców i ich doświadczenia. Na koniec wspomnijmy słowa Papieża – Polaka, iż.. „Naród, który nie zna swej historii – nie jest godzien być narodem”. Te myśli pod rozważę podaje Wam -

Wasz
Duszpasterz





pkt. 1. : Dnia 14 września Kościół przypomina nam znaczenie Krzyża św. Św. Paweł Apostoł tak sformułował tę prawdę: „Co do mnie, nie daj Boże, bym się miał chlubić z czego innego, jak tylko z Krzyża Pana naszego Jezusa Chrystusa, dzięki któremu świat stał się ukrzyżowany dla mnie, a ja dla świata”. Warto zapytać się siebie – czy ja nie wystydzę się krzyża na piersi, znaku Krzyża świętego – przed kościołem, czy kapliczką, wobec koleżanek szczególnie?

pkt. 2. : Kolejny raz Ojciec św. przypomniał o chrześcijańskim dziedzictwie Europy. Dnia 13-go września, przyjmując nowego, niemieckiego ambasadora Niemiec, powiedział: „Jeśli Europa nie będzie pamiętała o swoim dziedzictwie i duchowym, to zachodzi niebezpieczeństwo utraty przez nią swej tożsamości.” – Papież zaznaczył, że: „częścią tej tożsamości jest również Kościół, który historycznie reprezentuje chrześcijaństwo i jest istotnym czynnikiem kształtującym oblicze naszego kontynentu”. W związku z tym: ... staje się jasne, iż odwołanie się do Boga i wiary chrześcijańskiej w przyszłej konstytucji europejskiej nie będzie niczym innym, jak uznaniem tego historycznego faktu”, podkreślił Jan Paweł II-gi.

pkt. 3. : W dniu 15-go września b.r. odbyło się poświęcenie kaplicy Matki Bożej Krzyżkiej i tablic z imionami 15 tys. pomordowanych przez oprawców bolszewickich, oficerów Wojska Polskiego, policji, biskupów, księży i urzędników państwowych w Katyniu, Charkowie, Miednoje i innych, nieznanymi miejscach. Przy tej okazji, zapraszając na tę uroczystość – tak pisał J.Eksc. biskup polowy, gen. dyw. Sławoj Leszek Głódz: „...zbrodniczy czyn, dokonany przez sowieckich oprawców w 1940 roku na oficerach Wojska Polskiego, policjantach i funkcjonariuszach państwowych II Rzeczypospolitej Polskiej, tkwi głęboko w naszej narodowej świadomości”.

pkt. 4. : Komentując jeden z hymnów Izajasza Proroka – Ojciec św. dn. 4. IX. br. tak mówił: „Juz św. męczennik Justyn w swej *Pierwszej Apologii*, napisanej ok. roku 153, głosił działanie tego wersetu Kantyku Izajasza, który mówi: *Wyjdzie Słowo Pańskie z Jeruzalem*. Napisał on: *Z Jeruzolimy wyszli mężowie na świat w liczbie dwunastu; a byli oni nieukami; nie umieli mówić, lecz dzięki mocy Bożej objawili całemu rodzajowi ludzkiemu, że posłał ich Chrystus, aby nauczać wszystkich Słowa Bożego. I my, którzy dawniej zabijaliśmy się wzajemnie, nie tylko nie walczyliśmy już jako wrogowie, lecz chętnie umieramy, wyznając Chrystusa, aby nie kłamać i nie oszukiwać tych, którzy nas pytają*. Ojciec św. dodaje: „Dlatego... my, chrześcijanie, podejmujemy słowa proroka i staramy się złożyć podwaliny tej cywilizacji miłości i pokoju, w której nie będzie już wojny, ani śmierci, ani żalu, ani łęku, ani trudu już odąd nie będzie, bo pierwsze rzeczy przeminięły” (Apok. 21,4)

pkt. 5. : Ojciec św. przypomina z okazji Dnia Środków Przekazu – iż również internet może być środkiem ewangelizacji. Pisze: „Fakt, że przez internet ludzie pomnażają swe kontakty...stwarza cudowne możliwości szerzenia Ewangelii. Lecz prawdą jest także, że stosunki utrzymywane za pomocą środków elektronicznych – nie mogą zastąpić bezpośredniego kontaktu ludzkiego, którego wymaga prawdziwa ewangelizacja”. I kończy słowami: „Jeżeli nie ma miejsca dla Chrystusa, to nie ma go także dla człowieka”

pkt. 6. : Dopiero teraz możemy podać słowa Ojca św. wygłoszone w sam dzień 1-go września: ... Dzień ten przypomina nam początek, wybuch II wojny światowej oraz wszystkie tragiczne wydarzenia tej wojny. Obejmujemy myślą i modlitwą miliony ofiar terroru wojennego. Także tych, którzy bohatersko walczyli o wolność Ojczyzny. Niech cierpienie i smutne doświadczenia tych wszystkich, którzy przeżyli wojnę, przyczynią się do trwałego pokoju, który jest prawem i dobrem wszystkich ludzi”.

pkt. 7. : Nieomal 90-cio letni kard. Kazimierz Świątek powiedział: „*Kodeks prawa kanonicznego gdzieś mi się zapodział, ale za to kieruję się książką, która zawsze leży na mym biurku. Jest nią Ewangelia*...”

Łącznik

str. 2.

12-te urodziny Czarnej 13 G-D-H-y

14-15 września w pobliskiej wsi Kamionce, około 15 kilometrów od Garwolina odbył się uroczysty biwak z okazji 12 urodzin Czarnej 13. W obchodach tej wspaniałej uroczystości wzięło udział 10 harcerzy z Garwolina. Mieli nas odwiedzić druhowie z Mińska ale niestety nie dojechali. Może zatrzymał ich deszcz, który padał prawie bez przerwy przez dwa dni. Mimo to, że na nasze głowy i namioty nieustannie padało, to biwak udał się...

Zacząc od początku. Dojechalismy na miejsce samochodem Cywila, bo do Kamionki dochodzi tylko jeden autobus dziennie. Najpierw zajęliśmy się rozbijaniem namiotów. Zajęło nam to dosyć dużo czasu, ponieważ każdy namiot trzeba było zabezpieczyć przed deszczem.

Podczas tych czynności zgłodzieliśmy i zaraz po skończeniu ugotowaliśmy obiad. Wszyscy zjadali się wspaniałą „grochówką”. Potem była cisza poobiednia i dalsze zajęcia przygotowawcze do głównego punktu programu, czyli wielkiego ogniska połączonego z obchodami urodzin. Bury i Jaszczur ułożyli ognisko, reszta przygotowała grila. W tym czasie przyjechał do nas ojciec Franciszek oraz Hetman. Nadeszła długo oczekiwana chwila.

Rozpaliliśmy ognisko, wysłuchaliśmy gawędy wygłoszonej przez ojca Franciszka zaśpiewaliśmy kilka piosenek i chwilę porozmawialiśmy. Wtedy Bury przyniósł upieczony przez jego mamę tort. Cywil, Hetman i Jaszczur zdmuchnęli 12 świeczek i pokroili tort. Był pyszny, do dzisiaj czuje jego smak. Potem były jeszcze wspaniałe kiełbaski z grila i inne pyszności. Śpiewaliśmy i rozmawialiśmy do późnego wieczora. Nadszedł jednak czas kiedy trzeba było kończyć, bo coraz więcej druhów ziewało. Po pożegnaniu i ustaleniu nocnych wart położyliśmy się spać...

Rano pobudka o 7.00, mycie, przygotowywanie śniadania, apel i msza św. Ani się obejrzelismy a była już 10.00. Jednak żaden z nas ani myślał o powrocie do domu. Obok miejsca w którym się rozbiliśmy było boisko do piłki nożnej , więc rozegralismy emocjonujący mecz w piłkę bardziej błotną niż nożną. Później były jeszcze zapasy i różne wygłupy. Jednak czas nas gonił. W poniedziałek trzeba było iść do szkoły. Dlatego około godziny 13.00 zaczęliśmy się pakować i składać namioty. Pożegnaliśmy się z Kamionką i około 15.00 szczęśliwi, uśmiechnięci i ... brudni, wróciliśmy do Garwolina.

Z ułaskaniem czekamy na 13 rocznicę Czarnej 13...



Czuwaj!
dh. Jaszczur – wyw.

Łącznik

str.

Wspomnienia misjonarza (31).



Udział w kursie języka hiszpańskiego, pozwolił mi zobaczyć, jak wielu protestanckich sekciarzy przyjeżdża do Ekwadoru. Większość ok. 15-to osobowej, naszej grupy, to byli różnej maści „apostolowie”, głównie obywatele USA. Przybywali tutaj najczęściej w ramach różnych misji własnych, czy tzw. „Korpusu Pokoju”, zamiast obowiązkowej służby wojskowej, by „nawracać” katolików, zamiast rodzimych, nader licznych ateistów.

Skądinąd byli to na ogół młodzi ludzie, sympatyczni i dobrze zaopatrzeni, więc szybko zyskiwali sobie licznych ciekawych i przyjaciół. Nauka była dla nich pierwszym etapem, kiedy poznawali język i środowisko. Podręczniki nasze były pisane po angielsku, a choć nauczyciel mówił oczywiście cały czas w literackim języku hiszpańskim – czyli „castellano”, to komentarze i wyjaśnienia z konieczności musiał czynić po angielsku.

Niemniej i ja korzystałem dużo, bo kurs był intensywny, a już umiałem co nieco po roku pobytu i paru miesiącach prawie normalnej pracy duszpasterskiej. Teraz mogłem uzupełnić moją szwankującą gramatykę, nauczyć się bardziej złożonych form gramatycznych i powiększyć zapas słów. I wreszcie również: „nie zjadać rodzajników”, przy zotem dialogu.

Najczęściej na te lekcje jeździłem jakimś autobusem do centrum, potem szedłem piechotą, by lepiej poznać miasto i orientować się w nim. Komunikacja zaś była oparta całkowicie na wielu prywatnych „kooperatywach”, mających czasem kilka – lub kilkadziesiąt autobusów. Większość z nich, to rupiecica, dymiąca czarnymi sadzami, nawet z rurami umieszczonymi tuż obok kierowcy, gdzie spaliny szły do góry. Ponieważ zaś do centrum miasta prowadziła wówczas tylko jedna „arteria”, więc czasem całe dziesiątki takich wehikułów posuwało się zóhwm tempem, by wreszcie minąć most nad głębokim strumieniem i rozpełznąć się po mieście.

Pamiętamy, że Quito rozłożyło się w dolinie wśród wysokiej kordyliery, na jej odgałęzieniach i okolicznych dolinach. Nawet w samym centrum miasta były ulice tak wąskie i strome, że nawet silne auta z trudem pokonywały te zjazdy. W dodatku w stolicy również, podobnie jak w Cuenca, zastosowano system ulic jednokierunkowych, co dodatkowo utrudniało dojazd do potrzebnego miejsca. Więc dojeżdżał pieszo, czyli „per pedes apostolorum” (tak się kiedyś mówiło: „na nogach – jak apostołowie”), było nie najgorszym rozwiązaniem i często z tego korzystałem.

Poznawałem w ten sposób miasto, musiałem rozmawiać, pytać o drogę i odpowiadać ludziom. Budziłem bowiem nadal zdziwienie, raczej sympatię również z racji noszenia szlapano, pomimo zachęt i czasem również lekkiej niechęci ze strony młodszych Współbraci. Bo ja nadal uważałem, że zarówno nie mogę i nie mam czego się wstydić, a każdy sam odpowie za swoje postępowanie. Powoli więc pogodzone się z tym, że jestem uparty i dano mi spokój ufając, że sam się przekonam i zrezygnuję.

Szybko przekonałem się, że jednak ludzie mnie lepiej rozumieją, niż niektórzy duchowni: pozdrawiano mnie z szacunkiem i życzliwością, nie spotykałem nigdy kpiny, czy nienawiści. Podobnie było i wśród młodych, w naszej parafii, czy na uniwersytecie, choć tzw. „Catholic” był również ostoją lewicowych sił i na gruncie religijnym – nie ukrywano sympatii do „teologii wyzwolenia”. Była w modzie i w natarciu jeszcze wówczas, nie tylko w Ekwadorze, całe „Hispanoamerica”, lecz również w USA i Hiszpanii – jeszcze za życia starego już „Caudillo” – czyli gen. Franco. Wszak to na naszym, jezuitskim uniwersytecie „Comillas” w Madrycie, było kilku sławnych teologów, którzy wraz z franciszkaninem Boofe m tworzyli czołową tego ruchu, rozgromionego dopiero w połowie lat osiemdziesiątych dzięki postawie i nauce Ojca św. Jana Pawła II i znakomitego teologa – kard. Ratzingera.

Łącznik

str. 4.

Tymczasem jeszcze w roku 1974 – tym, nadal w modzie był tutaj „postępowa” teorie, doskonale przystające do dzieł tow. Władymira Ilicza. Tym bardziej, iż przez Kubę naprawdę płynęły również do Ekwadoru nie tylko dolary, lecz także agitatorzy i propaganda. Ta zaś mogła swobodnie odwoływać się do biedy, niesprawiedliwości i wiekowych zaniedbań, jakie tutaj nadal istniały.

Warto na tym miejscu wspomnieć również o roli naszej placówki dyplomatycznej w Quito. Kontakty z ambasadą były konieczne – i zarazem pouczające dla mnie. Zaraz po przylocie do Quito winieniem był zgłosić się do konsula, by wymienić paszport, ważny tylko na trzy miesiące. Wówczas jeszcze Polska miała jednego ambasadora dla trzech krajów: Wenezueli, Kolumbii i Ekwadoru. Najczęściej ten dygnitarz rezydował w stolicy bogatej wówczas w naftę i dolary Wenezueli – w Caracas. U nas pojawiał się raczej rzadko, zaś w ambasadzie grał pierwsze skrzypce któryś z „sekretarzy”.

Dla mnie było to zresztą mało ważne, gdyż tylko formalnie mieli mnie „pod opieką”. Tutaj nie starczało etatów na więcej, niż jednego pracownika, zajmującego się wywiadem, czy raczej kupowaniem potrzebnych drobiażek – gdzie indziej trudniej dostępnych. Niemniej i stąd jechali na studia do „krajów demokracji” i samego „Sajusza”, wybrani ludzie. Wracali potem nieomal zawsze pełni podziwu dla osiągnięć, kultury i dla „rządów ludu”, by tutaj zrywać rewolucję.

Z drugiej strony, wówczas rządy w Ekwadorze trzymało w rękę wojsko, więc sytuacja placówek typu naszej, była delikatna. Szefa ówczesnej junty wojskowej zwanego wprawdzie po cichu „dyktatorem”, lecz daleko to było np. do „dyktatora proletariatu”. Nie udało się bandycie z Kuby stworzyć partyzantki czerwonąj nawet w Peru i Boliwii, pomimo wysiłków, tysięcy dolarów i postania nawet zawodowca – „Che – Guevary”. W Ekwadorze nigdy nie zaistniała żadna grupa zbrojna, choć istniały aż trzy partie komunistyczne, w tym dwie nielegalne. Próba przeszczepienia terrorystów z Kolumbii – również spaliła na panewce.

Natomiast owocnie – niestety – rozwijał się skupiony wokół biskupa katolickiego (1) z Riobamba. ruch lewicowy wśród Indian w prowincji Chimborazo: pokrywał jego były grupy „leaderów”, szkolone w...wielkim domu „rekolokacyjnym”. Postępowy mons. Proano nie rozpoczął nawet odbudowy katedry, zniszczonej trzęsieniem ziemi w r.1949; bo, jak mówił: „Pan Bóg nie potrzebuje tak wielkiej świątyni”. Więc stał zamiast wspaniałej, kamiennej świątyni z XVI wieku – baraczek, jak u nas w jakimś PGR-ze. Za to monsieñor znalazł fundusze na wielkie centrum, kilkanaście km. od miasta, gdzie kwitły spotkania, grupy i szkolenia do „ludowego powstania”.

Nawet główny organ „naszej prodującej siły narodu” – czyli „Trybuna Ludu” – piała pieśni pochwalne o postępowym biskupie z Riobamba. Nie mówił źródła historyczne, czy także nasza czołowa poetka – noblistka dołączyła do tego chóru.

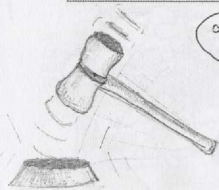
Kiedy zameldowałem się w naszej ambasadzie, by uzyskać wizę pobytu „czasowego”, może i mnie potraktowano, jako tego, który nawrócił się powoli i będzie słałw zdobycie ludowej władzy. Spotkałem jednak w teże ambasadzie również prawdziwą życzliwość i nigdy nie robiono mi żadnych problemów. W podtrzymanie ten kontakt, brałem nawet od czasu do czasu ...nieco nowszych numerów dziennika polskiego, by mieć choć spóźnione wieści z Polski. Wszak nawet w „Trybunie Ludu” z dawna nauczyłem się czytać między wierszami – jeszcze w sanatorium w Barcewunie...

Prócz tego, nawet tutaj byli to przecież Polacy i za ich dobrą wolę odplacałem im podobną i szczerą życzliwością.

c.d.n.

Łącznik

str. 5.

0.52001
1.4

W sądzie wojskowym, c.d.

Ogłoszenie wyroku było dla mnie nie tylko „miłym zaskoczeniem”, gdy usłyszałem zakończenie: „... w sumie osiem lat więzienia!”. Był to dzień, kiedy już, jako skazany bandyta, mogłem otrzymać od razu w jednej z sal sądu, pozwolenie „na widzenie” z moimi Bliskimi. Zazwyczaj nie odmawiano tego pozwolenia skazanym, wszak ten „wysoki trybunał” dobrze wiedział, że to jest ustępstwo na rzecz cywili, którzy będą potem o tym mówili, że sąd jednak pozwolił...

Lecz wcześniej – był końcowy akt tego cyrku: wysoki trybunał ludowy (trzech uczestników – na pięciu – było wszak z ludu wybranego!) zjawił się, zasiadł i kazał wstać oskarżonemu, by: „ w Imieniu (jeszcze) Rzeczypospolitej Polskiej” obwieścić łagodny wymiar kary: po pierwsze – za nieumyślne uszkodzenie ciała – trzy lata więzienia; po drugie – za nielegalne posiadanie i przechowywanie broni – osiem lat więzienia. W sumie wyrok łączny – to „oszem lat”, zaliczając bandycie odsiadkę od dnia 28. VII. Roku 1947-go.

Na słowa: „8 lat” – nie zdołałem powstrzymać radosnego uśmiechu, wszak za posiadanie jednego pistoletu, kilka dni temu skazał ten sam trybunał trzech młodych chłopców na kary: pięć lat, sześć i pięć. Mnie zabrano dwa pistolety maszynowe: doskonałego, niemieckiego „M.P. 41” – czyli Schmeisera; skróconą o kolbę ruską „pepeszka” i jeszcze belgijski pistolet 15-to strzałowy – tzw. „F.N.-kę piętnastkę”. Oczekiwałem więc wyroku zapewne powyżej dziesięciu lat mamba – a tu słyszę, że tylko...oszem lat.

Na mój uśmiech natychmiast zareagował sam towarzysząc prokurator ostrym:

- Co sze oskarżony szmieje?

Lecz – nie oskarżony - lecz już skazany, nie ośmieliłby sze śmiać z wysoki sąd; on naprawdę uśmiechnął się tylko z radości, że dostał *tylko osiem lat!*

Więc natychmiast musiałem spoważnieć, bo przecież ważne było teraz, by dali mi widzenie z obecnymi na sali, moim bratem Józkiem i jego narzeczoną, Matki nie chciałem, by słuchała i patrzyła na mnie tutaj – mogłaby tego nie wytrzymać.

Na prośbę mojej obrońcy, trybunał zezwolił chyba – jeśli dobrze pamiętam – na półgodzinne widzenie w jednej z sal sądu. Oczywiście w obecności klawisza, który jednak był naprawdę dyskretny. Teraz dopiero mogłem Józkiowi podziękować za jego starania i przeprosić za tyle trosk i trudów; o kosztach nawet nie wspominałem, by go nie urazić. Jego narzeczona, panna Stefcia – starała się również dodać mi otuchy: wszak była na tym etapie, kiedy starała się narzeczonemu przypodobać na wszelkie sposoby...

W czasie tego krótkiego widzenia – miało starczyć mi go na najbliższe lata – próbowałem opowiedzieć bratu o śledztwie, o tym, który napisał donos, poprosić o najpilniejsze rzeczy i określić, co wolno przysłać w paczkach oraz jak pisać listy. Wprawdzie nie był jeszcze prawomocny, ale wyglądało na to, że raczej prokurator zadowoli się tymi ośmioma latami; obrona wiedziała dobrze to samo, co mi powiedział już miński ubek: osiem lat – to było minimum, jakiego mogłem oczekiwać. Wyrok stawał się prawomocny w ciągu siedmiu dni i wtedy mogłem otrzymać jedną, pięć-kilogramową paczkę żywnościową oraz jeden list do rodziny – na miesiąc.

Pilne było również przysłanie mi jakichś nowych okularów na miejsce tych potłuczonych w śledztwie, oraz choć kilku książek do nauki, by zupełnie nie zgłupieć. Naturalnie wiedziałem, że o tym może być mowa dopiero w „stałym miejscu pobytu”, gdy mnie już przesła do jakiegoś więzienia karnego. Teraz prosiłem pilnie o coś ciepłego na bliską już jesień. Na to wszystko trzeba było jeszcze pozwolenia prokuratury, a po zatwierdzeniu wyroku - decydował naczelnik więzienia. Na razie to wszystko załatwiała jeszcze pani mecenas.

Tak oto w jednej z salek na I piętrze budynku Sądu Wojskowego siedziałem między Stefcią a bratem Józkiem, któremu teraz spadał jeszcze jeden obowiązek na rzecz tego, który dotąd kosztował go tylko sporo zmartwień o wyniki nauki, o akademik i wyżwienie. Do tego dochodziły – na najbliższe sześć lat – zabiegi o skrócenie wyroku, wyjazdy na widzenia, wysyłanie paczek i niezawodne odpowiadanie na moje więzienne kartki.

Wiele lat później i tylko z półsłówki Józka zorientowałem się, jak długo i bez skutku próbował dotrzeć do ówczesnego Naczelnego Wodza – z łaski „Ojczulka Stalina” – marszałka: Michała „Rol” – Żymierskiego. Został on osądzony za kradzież ok. 10 milionów zł., zdegradowany do szeregowca i skazany na 5 lat więzienia. Był generałem dywizji i dyrektorem departamentu zaopatrzenia w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Po odsiedzeniu wyroku, chyba w r. 1932 – gim pozwolono no wymigrować do Francji, gdzie wstąpił do KPFF – czyli Komunistycznej Partii Francji. Takiego to miało wojsko naczelnego dowódcę, aż do odstąpienia nam marszałka Kanstantina Rakassowskovo – dwa lata później.

Tymczasem jeszcze był u szczytu kariery; do niego próbował dotrzeć brat – bezskutecznie. Jednak w tym czasie, o „którym mowa, miał on jeszcze prawo łaski w przypadku skazania przez sądy wojskowe. Kiedyś – już po latach – gdy dawno wyszedłem z więzienia, brat wspominał tylko jeden raz o tych swoich zabiegach:

- Ileż ja się nachodziłem i nosiłem kwiatów i bombonierek sekretarkom, by dotrzeć z moimi prośbami do Żymierskiego. I kiedy już wydawało się, że dotarłem – odebrano mu wszelki wpływ na sądownictwo wojskowe, choć jeszcze pozostawał ministrem. Za późno!

Pamiętny to był dzień, zanotowany w aktach i potem na mojej „celówce”, czyli szarym świstku, który szedł za mną i tkwił w drewnianej skrzyneczce na drzwiach celi, na zewnątrz oczywiście, gdziekolwiek byłem. Pod nazwiskiem i imieniem, daty: rozpoczęcia odsiadki – 28.VII. 1947 r. I końca wyroku: jakże odległa data: 28. VII. 1955 rok!

Nikt z nas nie wierzył, że będziemy siedzieć cały wyrok. Nadal każdy ludzi się staraniami rodziny, amnestią – czy...wybuchem trzeciej wojny. Nie dziwi się: tego oczekiwała nie tylko ogromna większość Polaków, lecz i jakże liczne miliony tych jeszcze biedniejszych od nas. Mówię o milionach obywateli „czerwonego raj”, wszak kilka miesięcy sowieckich żołnierzy zobaczyło, jak ludzie żyją w Polsce, czy potem – w Niemczech. Nieraz wspominałem makabryczny żart, który jakże był bliski prawdy, to rozmowa „paliaczka” z „bajcom”, czyli sowieckim żołnierzem:

- Ile u was mieszkańców w Polsce? – pyta (zapewne po pijanemu) sowciarz.
- Trzydzieści milionów – odpowiada Polak.
- Wot, u nas więcej w tiumbach siedzi!

Według rachunków – zresztą enkawudzisty i Żyda – Sołżenicyna, w łagrach i więzieniach było w latach powojennych trzydziście od ok. 15 do 30 milionów „ludziej” – ludzi, jeśli można ich było do gatunku ludzkiego jeszcze zaliczyć... Cóż więc znaczący około półtora miliona więźniów w polskich ponad trzy lata więzieniach, obozach pracy i kopalniach około roku 1950-go! Tylko w „naszym” przyskim „Białym Domku”, zwanym też niekiedy jeszcze bardziej egzotycznie: „Toledo”, było we wrześniu tego roku (tzn. 1947-go) ponad tysiąc stu więźniów, gdy na Mokotowie – dużo więcej. c.d.n.



**Jeden z Patronów Polski: św. Stanisław Kostka.**
(Rostków 1550 - Rzym 1568)

Był synem kasztelana zakroczyńskiego, ze starej szlachty mazowieckiej. W jego czasach szybko szerzyła się herezja protestancka, również wśród naszej szlachty i możnych. Natomiast prosty lud pozostawał wierny Kościołowi, a Mazowsze i szczególnie Kurpie – byli zawsze przykładem patriotyzmu i wierności prawdziwej wierze.

Również i Stanisław wstąpił w tej atmosferze prostej, głębokiej pobożności, lecz mądry ojciec Jego chciał zapewnić synom gruntowne wychowanie i kształcenie. Wysłał dwu braci: starszego Pawła i Stanisława do znanych już szeroko szkół jezuitów we Wiedniu. Tam Stanisław z trudem wchodził w obce sobie środowisko, język – i dyscyplinę szkoły, lecz już po roku jest uczniem pilnym i nie ostatnim. Nadal bardzo różni się od starszego brata, który korzysta z bogactwa ojcowskiego i pokus życia wielkiej stolicy cesarskiej.

Stanisław przechodzi ostrą chorobę i jest cudownie uzdrowiony przez Matkę Najświętszą, którą czci głęboko i po synowsku. To od Niej usłyszał słowa: Wstąpisz do Towarzystwa mojego Syna... Próbując więc młody chłopak prosić już we Wiedniu o przyjęcie, lecz wobec sprzeciwu rodziców – przetożeni zakonnici nie odważają się pozwolić młodzieńcowi 17-letniemu na wstąpienie do nowicjatu na miejscu.

Wówczas zdecydowany na wszystko, Stanisław ucieka z internatu i z miasta. Za radą spowiednika, wędruje przez objęte wojną religijną Niemcy, do prowincjała tych krajów – św. Piotra Kanizjusza w Augsburgu. Ten odsyła go – nadal pieszo, wraz z dwoma innymi młodymi jezuitami, do Rzymu. Po kilku miesiącach i przebyciu ponad 1,5 tysiąca kilometrów, Stanisław uzyskuje przyjęcie do nowicjatu na Kwirynale, w Rzymie – przez samego Generała zakonu – św. Franciszka Borgiasza.

Tytko dziewięć miesięcy trwa życie Stanisława – jako nowicjusza. Nawet po tak krótkim czasie ocmienio, iż „wielkich rzeczy można spodziewać się po tym Polaku”. Umiera niespodzianie, tak jak pragnął – w przeddzień uroczystości Wniebowstąpienia Maryi, aby cieszyć się Jej chwałą już w niebie.

Jak świadczą współcześni, do trumny tego młodego nowicjusza dopiero, szli kardynałowie, możni i prości ludzie, gdyż zasłynął ze swojej świętości. Ta sława dochodzi i do Polski, a pierwszym nawróconym jest Jego starszy brat Paweł, który za życia sprawiał wiele przykrości młodszemu Stanisławowi we Wiedniu. I choć ciało Świętego do dzisiaj pozostaje w dawnym kościele nowicjatu na Kwirynale w Rzymie, to w swojej Ojczyźnie od początku doznawał Stanisław czci niezwykłej. Jest jednym z pierwszych jezuitów, wyniesionych na ołtarze już w 1621 roku wraz z samym Założycielem Zakonu – Ignacym.

Ogłoszony Świętym w r. 1726 – jest Patronem młodzieży i – obok N. Maryi Panny, oraz dwu świętych biskupów: Wojciecha i Stanisława. **Jest św. Stanisław Kostka Patronem Polski!** Miejsce Jego urodzenia – **Rostków** - jest w ostatnich latach miejscem spotkań i pielgrzymek młodzieży nie tylko z diecezji płockiej.

Stara lipa, być może będąca odróżną tej, pamiętającej Świętego – widziela nie jeden raz harcerzy i ognisko, gdzie kiedyś „jeden z naszych” składał swe Przyrzeczenie. Kiedy jeszcze dzień św. Stanisława obchodzone dnia 13 listopada, często – przez wiele lat – co roku wędrowali do Rostkowa młodzi z Kalisza, Warszawy i z innych miejsc. Dzisiaj jest tam już nie stary, zaniedbany i brudny kościółek, lecz odnowiony i piękny kościół parafialny, godny Patrona Polski. Tam też trzy lata już temu poświęcono sztandar harcerski H.P.

Łącznik

str. 8.



Jakub Cathelineau

Wanda - zapomniana kraina.

Każdy z nas uczył się historii powszechnej i pamięta choć „z grubszą” – co wydarzył się we Francji w roku 1789-tych: to Wielka Rewolucja Francuska. Miała i dla nas znaczenie, gdyż jej hasła docierały i do Polski. Były piękne i pociągające; to: Wolność, Równość, Braterstwo. Nadal wbia nam się do głowy – jakie to postępowe idee, dzisiaj podobno realizowane w Unii Europejskiej.

Więc posłuchajcie o pewnej części ówczesnej Francji, gdzie te ideały zostały zrealizowane prawie tak, jak w bytym, czerwonym, bolszewickim raju: gdzie wolność – mieli dopiero umarli, gdzie wszyscy byli równi – ale równiejsi byli członkowie partii – i gdzie braterstwo prawdziwe nie kwitło nawet w lagrach, gdyż tam rządili najgorsi zbrodniarze.

Wanda – to jeden z wielu departamentów Francji, gdzie katolicy masowo powstali przeciw terrorowi rewolucyjnemu, w obronie morderowanych księży i króla – któremu oni byli do końca wierni. W tym kraju działał na przełomie XVII i XVIII –go wieku wielki czciciel Matki Najświętszej – św. Ludwik Grignon de Montfort. Głosił on rekolękcję, uczył ludzi szacunku dla władzy i życia uczciwego.

Kiedy masoneria doprowadziła do wybuchu rewolucji, prześladowania Kościoła i terroru, gdy codziennie setki głów spadało pod nożem gilotyny w Paryżu, a księży zsyłano setkami do Gujany Francuskiej – w Wandei wybuchło powstanie. Na wieść o straceniu króla Ludwika XVI w styczniu 1793 r. i oburzenie i gniew panowały powszechnie. Kiedy ogłoszono pobór do „armii rewolucyjnej” – chłopci przepędzili Gwardię narodową i poprosili bardzo znanego i szanowanego Jakuba Cathelineau – 34-letniego woźnicy i ojca 11-ga dzieci, by im przewodził. Ten odpowiedział im:

- Musimy walczyć, bo Republika nas zmiądzży. Rzeczka kobiet jest modlić się, my – mężczyźni musimy się bić”. Przypasał szablę i pistolet, na szyi zawiesił Różaniec, a na piersi szkapierz z Najświętszym sercem.

Powstrzymującej go żonie powiedział:

- Zaufaj Bogu, za Niego idę walczyć, więc On będzie się wami opiekował.

Tak to: „Wanda chwyciła za kopie, by podtrzymać niebo” – jak o wiele później napisał o tej religijnej kontrewolucji – kardynał Pie.

W tej „Wielkiej Armii Katolickiej i Królewskiej” – były prawdziwie realizowane hasła wolności, równości i braterstwa, gdy jakobini parcy stworzyli tylko terrori dyktaturę motłochu paryskiego – póki nie wziął ich w żelazne karby gen. Bonaparte. Tymczasem jednak zduszone powstanie w Wandei przemocą i terrorem. Kiedy powstańcy zdobyli zamek i miasto Angers w czerwcu 1793 r. – nie uderzyli na Paryż. Brakło im przewódców.

Masoni parcy wpadli we wskokłość: Rewolucyjny tzw. Komitet Ocalenia Publicznego wydał dnia 1 sierpnia niebawymy dekret o...eksterminacji całej prowincji! Jednak dwie kolejne ekspedycje zostają rozbite przez powstańców: najpierw ekspedycja karna gen. Westermana – człowieka bez moralności i litości”, pod Chatillon. Potem posłano na Wandę tzw. niepokonaną armię moguncką, która zostaje rozbita doszczętnie przez powstańców wandejskich dn. 19 września pod Torfou. Pisze historię o tym bitwie:

„wywiązała się niezwykle zacięta bitwa. Wandejczycy zalamali się i uciekli. Na tyłach modliły się kobiety, które na widok uciekających mężczyzn krzyknęły:

Tchórze, nie macie wstydu, co z was za mężczyźni, oddajcie nam swe strzelby! I kijami oraz kamieniami zagonily ich z powrotem na pole bitwy. I Wandejczycy w desperackim szturmie rozbiti niepokonaną dotąd w całej Europie armię moguncką. Nie na darmo napoleon Bonaparte nazwał Wandejczyków: ludem gigantów.”

Łącznik

str. 9.

Potem wysłano przeciw Wandei tegoż gen. Westermerna, który w sam dzień 23 grudnia 1793 r. rozbił powstańców nad morzem, pod Savenay. Potem trwa straszne polowanie na ludzi i zwycięski generał tak pisał do Konwentu w Paryżu:

„Nie ma już Wandei. Umarła pod naszą wolną szablą ze swymi kobietami i dziećmi. Grzebię ją właśnie w bagnach i lasach Savenay. Rozgłbiałem dzieci kopytami końskimi i masakrowałem kobiety, które nie będą już rodzić bandytów. Żaden jeniec nie obciąża mego sumienia... litość nie jest rewolucyjną sprawą.”

Na obrzeżach Wandei skoncentrowano 10 dywizji w 20 kolumnach, zwanych: „piekielnymi”. Szły one naprzeciw siebie, niszcząc po drodze wszelki ślad życia. „Nie ma takiego bestialstwa ani tortury, której by nie zastosowano w Wandei. Cała prowincja płonęła, ludzi cięto na kawałki, wypruwano wnętrzności, rozcinano kobiety w ciąży i obnoszono dzieci na bagnatach. Żołnierze kolumn piekielnych zabawiali się, zabijając dzieci w kołyskach, przecinając je na dwoje jednym ciosem szabli. Wrzucano Wandejczyków żywcem do rzeki Loary – zwać to: „pieczeniem chleba wolności”, a wrzucanych parami związanych do rzeki Loary – „ślubami republikańskimi”. Rewolucyjni generałowie: Beysser i Moulin – nosili spodnie ...ze skóry zabitych Wandejczyków!”

Jednak zmasakrowana Wandea nie poddała się nadal: na czele niedobitków Armii katolickiej – stanął teraz Franciszek Atanazy de Charette de La Contrie – wyjątkowo dowódca i genialny partyzant. ... „Chłopi uwielbiali go za jego odwagę, fantazję, rycer skie gesty i upór. Chodził z nimi pieszo w błoście, deszczu, wśród największych walk, był nieuchwytny. Stał się sławny w Europie i zwano go „Królem Wandei”. Republika zaproponowała mu ...pokój. 17 lutego roku 1795 Charette wjechał triumfalnie do Nantes, witany przez tłumy i nawet – przez wojska Republiki. Ale już w czerwcu znów wybuchła powstanie i Charette wraca do walki. Republika proponuje mu życie w zamian za opuszczenie Wandei.

Jego odpowiedź brzmiała: „Zwyciężyć, lub zginąć dla mego Boga i mego Króla, oto moja dewiza”. Miesiąc później, w marcu 1796 r. ciężko ranny Charette pada na polu bitwy. Słyszysz głos gen. Travot: „Gdzie jest Charette? Tu! Padła odpowiedź. Wtedy generał krzyknął: „Ileż heroizmu na próżno!”. W odpowiedzi słyszy: „Nic nie idzie na próżno! Nigdy!”

Dwa wieki później – na polach Wandei – Jan Paweł II wynosi na ołtarze 99 ciu Męczenników z Angers, spośród setek tysięcy. Zamordowanych w Wandei. Dnia 29 marca roku 1796-go Charette został rozstrzelany w Nantes, na placu Viarme, gdzie trzy lata wcześniej zginął Jakub Cathelineau. Ostatni akt epopei.

Dwa wieki później, w masonskiej Europie, niewiele – wydawałoby się może – pozostało z dawnej, katolickiej Francji, zwanej kiedyś z dumą: „Pierwodrodną Córą Kosciola”. Jednak corocznie, w pielgrzymce z Chartres do Paryża maszeruje kilkanaście tysięcy młodzieży pod sztandarami Wandei: jest na nim serce Jezusa, a pod nim dwie skrzyżowane szable.



Franciszek Atanazy
de Charette de La Contrie



str. 10.

I. Sprawności nadzwyczajne....

Zdobywanie sprawności harcerskich stało się jednym ze sposobów doskonalenia w nieomal każdej drużynie. Jest i powinno być częścią tego „wzrastania w siłę i mądrość”, ale nie tylko tę ludzką, lecz również duchową, u Boga. Warto może zająrzeć do pięknej książki Aleksandra Kamińskiego o Andrzeju Małkowskim, do pewnego rozdziału... Praktyczny ateista i lewicowiec pisze tam o głębokim życiu duchowym dha Andrzeja.

Nie tak dawno temu w wydanej przez ZHR książeczce sprawności, w czasie trwania naszego obozu letniego, znalazłem i skorzystałem z nowych sprawności tam uwzględnionych. Sprawności w życiu duchowym. Oto kilka przemyśleń starego instruktora: - na pierwszym miejscu - postawiłbym wśród tego rodzaju sprawności – może Zawisząka? Proponuję, jako główne wymagania: oszczędność w słowach (tak, tak - nie, nie); dotrzymać słowa; każdemu, lecz szczególniej druhom (obowiązuje także szarże!). Oznaką tej sprawności mogłaby być np. po prostu litera „Z” w czarnym kółku? Wymyślicie coś lepszego!

- punktualność – tak potrzebna! Nie tylko na zbiórce; również na niedzielnej Mszy św, czy w szkole; w oddaniu zadania, pracy, wykonaniu polecenia: najpierw – własnej Matki, prof., zast. - milczenie, oszczędność stopnia, jakże konieczna; oznaką jej – np. zegar. - jak zadania: chwila zastanowienia przed nawet nagłym, lecz ważnym pytaniem; przed wydaniem opinii o swym harcerzu; umiejętność zastanowienia nad podanym tekstem, rozkazem. Oznaką tej sprawności – mógłby być np. zarządków, a za nimi np. literka „J”, jak jezior... - dalej pomyślcie sami: można użyć w pojęciu sprawności coś, o co szczególnie się chcecie w d-nie czy zastępie starać, czy coś nagrodzić. Jak np. nasza obozowa spr. dla czujnego strażnika obozu. Tutaj, jako oznakę tej spr. proponuję: dla druhow – sylwetkę żurawia; dla dziewcząt – gęsi (to one uratowały Rzym!).

II. Samokontrola osobista harcerza.

Każdy z nas ma swoje nie tylko wady, słabości i braki: jeden nie znosi chemii, drugi nie umie rysować, czy fałszuje zawodowo w śpiewie (tutaj bję się w pierś!), mamy też i dary, zdolności, które najpierw trzeba znać, potem – z nich korzystać i wreszcie – rozwijać.

Nie lubimy pisaniny, formalności, a jeszcze bardziej – długiego gadania na ten temat. To słuszne. Jest jednak duże „Ale”.

Będziesz miał wiele pożytku – i zadowolenia osobistego – z własnego, tylko dla siebie prowadzonego, notesu, dzienniczka, jak tam sam zechcesz to nazwać. Sztuka polega na tym, by notować, kontrolować to, co dla mnie jest ważne! I w pierwszym rzędzie – kontrola mojej najpoważniejszej wady, braku. Warto, byś sam to wykrył; lecz czasem inni są nam w tym bardzo pomocni: gdy Cię wykpiwają, przezywają z jakiegoś powodu: „Wrogowie” nasi widzą lepiej nasze braki, wady. Zastanów się wówczas: czy jest w tym coś racji? Zazwyczaj jednak coś tam jest... Umiej sam to dostrzec!

Np. „rozbrajaka”, czy „skarżypyta”, nawet „ciapa”, czy „brudas” – czy to słuszne wobec mnie? Jeśli choć w jakimś stopniu prawdziwe – to zamiasz się złościć – udowodnij im bez gadania, że nie mają racji! Warto sobie to zapisać, wieczorem skontrolować, po tygodniu – porównać, czy jest już nieco lepiej?

Potem, jeśli masz zwyczaj – a warto! – comiesięcznej spowiedzi, jest okazja do porządnego rachunku sumienia, zrobienia następnego postanowienia, prosby o pomoc... Nic wielkiego nie przychodzi bez trudu, bez wysiłku, wciąż ponawianego, aż do skutku i uparcie. Harcerz, tym bardziej instruktor – zapewne doceni wartość takich swoich notatek, nie mówiąc już o obowiązku prowadzenia kroniki, własnego śpiewnika, czy wprost czegoś – jak „książki rachunkowej” własnych walk i celów, osiągnięć i także porażek. Spróbujcie...

Łącznik

str. 11.



Trzynastka z Garwolina – na biwaku, pomimo deszczu i zimna, obchodziła swoje, już trzynaste „urodziny”. Sobota i niedziela, 14 ty na 15 ty września, w lesie i nad bystrą rzeczką, rozbito namioty, urządzono kuchnię polową pod dachem pałatki. Tym razem byli na tym święcie sami harcerze, lecz dzięki współpracy z Rodzicami, był

nawet tort urodzinowy z trzynastoma świeczkami. Dmuchali na nie trzej drużynowi: sam Cyklon – który tworzył tę drużynę, dh. Hetman oraz obecny szef Trzynastki – Cywil ćw.

Deszcz ustał, więc ognisko płonęło, noc była ciepła i dopiero rano przyniósł znów mżawę i szare niebo. Dlatego Msza św. niedzielna była pod dachem naszej najlepszej „dziesiątki”, podobnie, jak później śniadanie – na sucho; herbata musiała gotować się „na wolnym ogniu”. Potem odjechał kapelan, by zdążyć na pociąg gdzieś do pracy w góry...

Reszta świata – nie raczyła ani odważyła się uczestniczyć w biwaku Trzynastaków. Nie można się tutaj dziwić Kubie – „postrachowi ...Oboźnego”, że nie puścili go na biwak Rodzice; od biedy można zrozumieć również Krzyśka – „inwalidę”; ostatnio złamał z kolei prawą rękę przy grze w nogę. Lecz inni? Czyżby byli z cukru, lub za delikatni?

Druh „Czarny” – czyli Ojciec Mietek – jest od kilku już miesięcy w przesławnym „Trzecim Rzymie”, to znaczy „ujechał w MOCKBY”, gdzie będzie się aklimatyzował przynajmniej do końca tego roku. Potem – może odwiedzi białe niedźwiedzie? Wieści te pochodzą od Bliskich Ojca Mietka, gdyż on sam nie nawiązał jeszcze z nami kontaktu.

Z Torunia i okolic – nie mamy wieści. Niektórzy – poszli do ZHR-u, inni jeszcze wegetują i trzeba czasu, by wyszli z trudności po odejściu kilku ważnych osób. Życzymy im, by umieli powrócić do naszego grona i znaleźli dosyć sił dla pokonania swoich problemów.

OD REDAKCJI: Postanowiliśmy jednak uczcić osobnym numerem „Łącznika” zmienną datę sowieckiego, zdradzieckiego ataku na Polskę i nasze Kresy – w dniu 17 – go września przed 63 laty. Gdy z wielkim szumem obchodzi się atak terrorystów na cele w USA, gdzie zginęło ponad trzy tysiące niewinnych, czyż nie należy przypomnieć, inny najazd – nie atak. Wszak przyniósł on miliony (ok. dwu) wysiedlonych w głąb Rosji, dziesiątki tysięcy okrutnie pomordowanych jeńców wojennych, dzieci – zamarznętych w wagonach ewakuacyjnych i w głębi pustyń i tajg Sybiru i Kazachstanu. Któż ich zliczy i katów osądzi – poza Bogiem?

My – jesteśmy im winni pamięć, podziw i szacunek. To ich trud i cierpienie wydaje teraz owoce w odrodzeniu wiary i Kościoła na tych ziemiach. To oni, a teraz ich groby znaczą granice Polski i Kościoła. Zobowiązują nas do wierności. Nie zginęli na próżno.

Łącznik

Redaktor naczelny: O. Franciszek Nowicki SJ

Redakcja: Robert Szostak
Andrzej Buława
O. Mieczysław Sołowiej SJ

e-mail: franov@pro.onet.pl

adres: 01-961 Warszawa; ul Wrzeciono 10/38 tel. (022) 835-76-77

Konto: F.Nowicki PKO BP S.A. I/O WARSZAWA Nr konta 47-10201013-45596-4526

Wydaje: Krąg Św. Jerzego Harcerstwo Polskie

Redakcja udziela zgody powielanie artykułów z podaniem źródła. Wszelkie zmiany treści artykułów wymagają zgody redakcji

Do użytku wewnętrznego.